

Witold Sokała: Łabędzi śpiew imperiów

W grze mocarstw nic nie jest dane raz na zawsze – ani potęga, ani sojusze, ani nawet reguły gry. To brzmi jak truizm, ale czasami warto przypominać takie najprostsze prawdy. A rzut oka na czasy Benjamina Disraeliego i jego bezpośrednich następców może dostarczyć nam lekcji, całkiem użytecznych dla współczesności – pisze Witold Sokała w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Disraeli. Imperium (nie)wyobrażone”.

Mowa o drugiej połowie XIX wieku i pierwszych latach XX stulecia, czyli okresie powszechnie uznawanym za „złoty wiek” Imperium Brytyjskiego. Disraeli – długoletni lider Partii Konserwatywnej, dwukrotny premier i trzykrotny kanclerz skarbu – miał zresztą spory osobisty udział w ówczesnych globalnych sukcesach swej ojczyzny. To jego konsekwentne zabiegi o uporządkowanie zarządzania Indiami, w tym przeforsowanie likwidacji zbyt samodzielnej wobec państwa Kompanii Wschodnioindyjskiej, doprowadziły do skonsolidowania władztwa nad tą imperialną „perłą w koronie” oraz do przyznania królowej Wiktorii tytułu cesarzowej Indii. To jego hazardowe posunięcie, gdy pomimo oporu sporej części gabinetu i bez powiadomienia parlamentu, za pieniądze *ad hoc* pożyczone u bankierów, kupił wielki pakiet akcji Kompanii Kanału Sueskiego – zapewniło Wielkiej Brytanii kontrolę nad tą strategiczną arterią.

Oddajmy jednak honor także poprzednikom Disraeliego: zrobili naprawdę dobrą robotę, zwłaszcza podczas Kongresu Wiedeńskiego. Skonstruowany wtedy tzw. „koncert mocarstw” posiadał parę fundamentalnych zalet, które pomogły Brytyjczykom szybko wzmacniać swoją pozycję. Na przykład – uwzględniał wszystkich znaczących graczy tamtych czasów, nawet świeżo pokonaną Francję, która zafundowała przecież Europie wieloletnią, krwawą łaźnię i gigantyczne zniszczenia. Mimo to, po skądinąd dosyć powierzchownej „denapoleonizacji”, dopuszczono ją przecież do współdecydowania o dalszych losach świata, zamiast pozostawiać to obiektywnie silne państwo „poza namiotem” i sprowokować czy wręcz zmusić je do działań rewizjonistycznych. Po drugie, system ów mądrze stawiał na równowagę potęg i wpływów w dynamicznych układach kilku głównych aktorów – co dość długo wymuszało na ich przywódcach samoograniczenie, odpowiedzialność i chłodną kalkulację. I po trzecie – dawał realny i jasny instrument utrzymywania tej zbawiennej równowagi, w postaci mechanizmu konsultacji dyplomatycznych oraz interwencji wojskowej w razie potrzeby.

Panowie świata

Nie zapomnijmy też, że dodatkowym spoiwem, sprzyjającym wzajemnej lojalności mocarstw, było ich wspólne czerpanie korzyści z trzymania pod butem pechowców, zdegradowanych przez wcześniejsze decyzje polityczne. Na przykład: wspólne pilnowanie Polaków przez monarchie Romanowów, Habsburgów i Hohenzollernów, zazwyczaj z błogosławieństwem (i ku uciesze) Paryża i Londynu. To wszystko razem tworzyło warunki, sprzyjające unikaniu wojen na wielką skalę, o

niekontrolowanej przez nikogo dynamice. Sprzyjało więc i temu, w czym ówcześni Brytyjczycy byli zazwyczaj lepsi od partnerów: produkcji i handlowi oraz wdrażaniu w tym zakresie innowacyjnych rozwiązań.

System równowagi i wzajemnej kontroli mocarstw, ale także ich „samopomocy” w razie takiej potrzeby, parę razy zadziałał naprawdę znakomicie. Na przykład podczas Wiosny Ludów, gdy interwencja wojskowa Rosji uratowała Austrię przed katastrofą. W czasie wojny krymskiej, gdy mocarstwa zachodnie – przy biernej postawie „niewdzięcznego” Wiednia i kunktatorskiego Berlina – wybiły Rosjanom z głowy zbytne osłabianie Turcji, co nadmiernie zaburzyłoby europejską równowagę. I wtedy, gdy jeden z najlepiej rozumiejących te reguły polityków, czyli kanclerz Otto von Bismarck, po zwycięskiej bitwie pod Sadową wstrzymał swych generałów, chętnych do pójścia za ciosem i zdobywania Wiednia – bo wiedział, że lepiej zjadać Austriaków po cichu, małą łyżeczką, zamiast z nadmierną ostentacją podważyć świętą zasadę równowagi. Ten sam Bismarck parę lat później poszedł już nieco dalej, ale też zadbał o alibi – wszak to nie on napadł na Francję, on się tylko bronił przed agresją... Po militarnym upokorzeniu Francuzów co prawda wsadził na głowę swego króla koronę cesarską, zagarnął Alzację i Lotaryngię, ale jednak zadbał, by pozostali uczestnicy „koncertu” nie poczuli się sprowokowani do kontrakcji. Tymczasem sprytni Brytyjczycy chętnie trzymali się nieco na uboczu tych kontynentalnych starć, za to pracowicie się bogacili – co wprost przekładało się między innymi na potęgę ich floty wojennej, bo to zawsze szczególnie kosztochłonny obszar wyścigu zbrojeń – i w efekcie ogrywali całą resztę w ekspansji kolonialnej. Disraelemu przypadł w udziale zaszczyt stawiania licznych „kropek nad i”.

Ale każdy ład międzynarodowy, nawet tak bardzo funkcjonalny (dla głównych graczy) oraz stabilny, jak ten wytworzony po roku 1815, prędzej czy później wyłania aktorów, dążących do jego zburzenia. Czasami robią to w pełni świadomie, bo czują się pokrzywdzeni uprzednim podziałem tortu. Czasami też dlatego, że czują się doraźnie oszukiwani przez kontrpartnerów. A niekiedy – działają w tym kierunku nawet nieświadomie, przynajmniej do czasu, bo po prostu koniunktura im sprzyja, siły gospodarcze (a w ślad za nimi polityczne) rosną, co budzi zrozumiałą niepokój graczy pozostających w tyle, mniej zaradnych albo bardziej pechowych. Wtedy to oni zaczynają podgryzać tego zbyt szybko rosnącego, on zaś – po pierwszym okrzyku zdumienia, w poczuciu niezawinionej krzywdy – zaczyna już celowo odpłacać „agresorom” pięknym za nadobne. I spirala się nakręca.

Interesy, kompleksy, złudzenia

Druga połowa XIX wieku to właśnie czasy, kiedy w cieniu widzialnych triumfów królowej-cesarzowej Wiktorii i jej ulubionego premiera zaczynają się już na dobre dziać dokładnie takie procesy. W uproszczonych narracjach historycznych często kładzie się tu nacisk na gwałtowny wzrost potęgi Cesarstwa Niemieckiego, które po objęciu tronu przez Wilhelma II (i zdymisjonowaniu przezeń przezornego Bismarcka) przestało się hamować i rzucało Brytyjczykom aż nadto otwarte wyzwanie, a i pozostałych uczestników „koncertu” traktowało niekiedy „z buta”. Potoczny wizerunek buńczucznego i agresywnego Niemca ułatwia przyswajanie takiej wizji, nie tylko zresztą w Polsce. Ponadto, wyścig Berlina i Londynu, dokładnie opisany i przebadany, faktycznie doprowadził do ostatecznego przesilenia, a w efekcie do

wielkiej wojny i katastrofy (mniejszej lub większej) praktycznie wszystkich zainteresowanych. Ale uwaga: z perspektywy współczesnych to wcale nie było proste ani oczywiste.

Dla elit brytyjskich tamtych czasów to bynajmniej nie Niemcy byli głównym problemem, i to niemal do ostatniej chwili (jeszcze w roku 1911 memorandum adm. Johna Fishera, prognozujące wybuch wojny z nimi tuż po zakończeniu przekopu Kanału Kilońskiego, czyli pod koniec roku 1914, spotkało się z niedowierzaniem króla i ministrów). Cesarstwo Hohenzollernów było bowiem bardzo długo traktowane *de facto* jako najbliższy sojusznik Londynu spośród „wielkiej piątki” – i to nie tylko z uwagi na generalnie dobre wspomnienia historyczne (wszak protestanccy władcy północnoniemieccy przez wieki miewali przeważnie więcej wspólnych interesów z Anglikami niż sprzecznych). Swoje robiło też znaczące wymieszanie krwi, czyli liczne brytyjsko-niemieckie małżeństwa wśród arystokracji, a dynastia, z której wywodziła się Wiktoria, wtedy wcale nie wypierała się jeszcze swej niemieckiej genezy. Kwitła też współpraca gospodarcza, pod wieloma względami bardzo korzystna dla obu stron, a młodzi Niemcy z bogatych domów chętnie przybywali na Wyspy w celach edukacyjnych i towarzyskich. Poddani Wilhelma II cieszyli się tam sporą sympatią, natomiast sam cesarz (wnuk królowej Wiktorii) długo uważał Brytanię niemal za swą drugą ojczyznę. Chociaż, jak się później okazało, miał też wobec niej bolesne kompleksy, a potem także coraz bardziej sprzeczne interesy.

Owszem, na Wyspach dostrzegano rosnącą potęgę Niemiec i ich ambicje, by nawet siłą wyrąbać sobie większy udział w eksploatacji globalnych zasobów. Liczono się z wojną, zdarzały się nawet okresowe wybuchy paniki na tym tle, ale najpierw zakładano, że dyplomacja

zdoła ją odsunąć w czasie (co skądinąd było planem samobójczym z uwagi na dynamikę trendów), a potem, że armia i flota niewątpliwie odniosą szybki sukces w konfrontacji z niemieckimi nuworyszami. Myślenie życzeniowe triumfowało.

Trzeba jednak przyznać, że były też wówczas całkiem dobre i racjonalne powody, żeby poważniejszych zagrożeń spodziewać się z zupełnie innej strony.

Złowrogi cień niedźwiedzia

Swój imperialny „złoty wiek” przeżywała w tamtym okresie nie tylko Brytania, carska Rosja także. Po wstrząsie wojny krymskiej zdobyła się na wysiłek modernizacyjny, uczyła się pilnie kapitalizmu, a gigantyczne zasoby naturalne i coraz bardziej zeuropeizowane, coraz lepiej wykształcone elity były czynnikami, które bardzo sprzyjały wzrostowi siły i ambicji. Państwo carów zaczęło więc realnie zagrażać interesom kolonialnym Londynu, na Bliskim i Dalekim Wschodzie oraz – co najważniejsze – w Indiach.

Parcie Rosji ku Morzu Śródziemnemu i Bliskiemu Wschodowi akurat zawczasu zablokował Disraeli, konsekwentnie wspierając Turcję. W Chinach i Korei analogiczną rolę spełniało w kolejnych dekadach inwestowanie polityczne, ekonomiczne i wojskowe w Japonię (*notabene*, z grubsza to samo robili wtedy „profilaktycznie” Niemcy, też zaniepokojeni ewolucją Rosji i wyczuwający rosnące zagrożenie z jej strony dla swych rdzennych ziem). Ale już w obronie Indii Brytyjczycy musieli przelać sporo własnej krwi, walcząc ze wspieranymi przez

Rosjan tubylcami o zachowanie kontroli nad Afganistanem (a bolesne porażki w jednej z tych kampanii kosztowały Disraeliego utratę władzy tuż przed śmiercią).

Na dokładkę, na coraz ściślejszy sojusz z Petersburgiem zaczęła wtedy stawiać Francja, odwieczny wróg Anglików, dopiero niedawno przekształcony przecież w partnera, ale nadal próbujący rywalizować z wyspiarzami o niektóre kolonie. Dla Francuzów było to naturalne poszukiwanie przeciwwagi dla Niemiec, ale w Londynie powodowało cichą furię. Nad samą Francją brytyjskie imperium miało bezpieczną przewagę ekonomiczną i morską, ale połączone siły francusko-rosyjskie stanowiły już poważne wyzwanie, gdyby doszło do otwartego konfliktu.

Także stąd wynikały długotrwałe rachuby na zacieśnianie relacji z Berlinem, na wypadek, gdyby stary, dobry „koncert mocarstw” ostatecznie miał ustąpić chaotycznej rywalizacji mocarstw. Stąd również silna w brytyjskiej kulturze strategicznej presja wewnętrzna, by budować sobie narzędzia do infiltrowania rosyjskich elit i w razie potrzeby także do ich destabilizowania. Przydały się potem parę razy te instrumenty i stojące za nimi tradycje, nie da się ukryć. I w XX wieku, i całkiem niedawno.

Waszyngton kontra Londyn

Drugie brytyjskie zmartwienie strategiczne tamtej epoki miało inny charakter. Oto na dalekim zapleczu Europy (tak wtedy postrzegano Ameryki) wyrósł nowy poważny rywal, w postaci dawnych, zbuntowanych kolonii Londynu. Swoją drogą – jakże musieli wtedy żałować prominentni poddani królowej Wiktorii wcześniejszych zaniedbań politycznych i wojskowych, i tych osiemnastowiecznych,

czyli niedostatecznej determinacji generałów Cornwallisa, Howe'a, Clintona czy Gage'a, by zdławić rewoltę, jak i tych z okresu wojny secesyjnej w USA, gdy całkiem poważnie brano pod uwagę wsparcie Konfederacji. Gdyby się na to zdecydowano, byłoby wysoce prawdopodobne, że zamiast potężniejących Stanów Zjednoczonych powstałyby w końcu dwa odrębne państwa, po pierwsze dużo słabsze, a po drugie skłócone ze sobą w sposób trwały, czyli z punktu widzenia interesów globalnych Wielkiej Brytanii zupełnie niegroźne.

Brytyjscy kunktatorzy po raz kolejny wygrali jednak wtedy spory ze swymi bardziej jastrzębimi (a może wizjonerskimi?) kolegami, a wkrótce po wojnie domowej USA weszły w erę błyskawicznego rozwoju i wzrostu potęgi. Najpierw ekonomicznej i technologicznej, ale w ślad za tym zaczęły rosnać też zdolności wojskowe (przede wszystkim morskie) i aspiracje strategiczne.

Dziś może trudno w to uwierzyć, ale w czasach bodaj najbardziej asertywnego z amerykańskich prezydentów tamtych czasów, czyli Theodore'a Roosevelta, perspektywa nowej wojny pomiędzy USA a Wielką Brytanią stała się całkiem realna. Otwarcie mówili o niej zresztą politycy po obu stronach Atlantyku. Jej stawką byłyby granice, a może nawet istnienie Kanady – a ministrowie i wojskowi brytyjscy szybko zdali sobie sprawę, że ich szanse na korzystny rezultat są dramatycznie małe. Pragmatycznie postanowili więc uniknąć wojny z Amerykanami za cenę daleko idących ustępstw. Pokornie zaakceptowali odnowioną przez Roosevelta doktrynę Monroe, *de facto* hegemonię USA na całej półkuli zachodniej. W ramach tego zgodzili się na przykład na amerykańskie roszczenia terytorialne na styku Kanady i Alaski, mimo że było to niezwykle bolesne ekonomicznie i politycznie. Uznali też aspiracje amerykańskie w Azji. I cieszyli się, że impet nowego

mocarstwa kieruje się głównie w stronę upadającego imperium hiszpańskiego, czyli m.in. Kuby i Filipin, a nie ich własnych posiadłości (rozczarowując przy okazji Niemców, którzy liczyli na kilka wspólnych interesów, na przykład w Wenezueli). W zamian – Londyn zyskał bazę do przyszłego, ścisłego sojuszu z USA, który uratował go od katastrofy w dwóch wojnach światowych (acz z czasem zaczął się robić jeszcze bardziej nierównorzędny).

Ku przestrodze

Za niewątpliwy sukces Imperium Brytyjskiego – szczęście w nieszczęściu – można tu uznać dyskrecję, z jaką bez strzału przegrało starcie z Waszyngtonem u progu XX wieku. Amerykanie też się nadmiernie nie obnosili z tym upokorzeniem kontrpartnerów, więc w nowe stulecie zwykli Brytyjczycy weszli jeszcze bez świadomości, że sukcesy z epoki Disraeliego były tak naprawdę łabędzim śpiewem. To ciekawa lekcja numer jeden – pozory potęgi czasami bywają bardzo mylące, a za starymi, dumnymi fasadami niekiedy może ziać pustka.

Reszta świata też generalnie żyła złudzeniem, mimo kłopotów Londynu w walce ze zbuntowanymi Burami. Może tylko Niemcy – bardzo czujnie analizujący relacje pomiędzy oboma potęgami anglosaskimi – zwiertzyli, że stary hegemon słabnie, i poczuli się zachęceni do większej śmiałości. Tego psychologicznego czynnika nigdy nie należy lekceważyć.

Następny morał z tej lekcji historii, wart „podkreślenia wężykiem”, jest natomiast taki, że w bardzo krótkim czasie fundamentalne interesy mocarstw – a w ślad za nimi ich strategiczne kalkulacje i sojusze – potrafią ulec radykalnej zmianie. Amerykanie jeszcze w roku 1890 nie

mieli praktycznie floty wojennej, ale wkrótce później zdołali znokautować w wojnie stare mocarstwo morskie, czyli Hiszpanię, odstraszyć Brytyjczyków od wtrącania się w ich strefę wpływów, a w roku 1907 ich Wielka Biała Flota, z 16 nowymi pancernikami nieustępującymi parametrami swoim odpowiednikom z Royal Navy, popłynęła w triumfalny, propagandowy rejs dookoła kuli ziemskiej, demonstrując światu, że oto na scenę wkroczył z przytupem nowy gracz. Z kolei Niemcy, przed zjednoczeniem produkujący zaledwie połowę stali wytwarzanej w Wielkiej Brytanii, zdołali do 1914 roku wyprzedzić Brytyjczyków w tej konkurencji aż dwukrotnie, a w efekcie zredukowali przewagę Royal Navy w tonażu okrętów z ośmiokrotnej do tylko dwukrotnej. Przy znacznie większym rozciągnięciu terytorialnym – oznaczało to praktyczną przewagę niemiecką na najbardziej newralgicznym teatrze wojennym Morza Północnego. Te i inne gwałtowne zmiany, nierzadko przegapione przez opinię publiczną i wielu polityków, skłonnych do myślenia zgodnie z utrwalonymi schematami, wymuszały dramatyczne wolty, często jednak spóźnione albo źle obliczone. A konfiguracje i sojusze, w których świat ruszył na wojnę w roku 1914, bardzo odbiegały od wyobrażeń powszechnych jeszcze kilka czy kilkanaście lat wcześniej.

Czy my dzisiaj aby nie popełniamy tych samych błędów, przez nadmierne przywiązanie do pozorów siły i niechęć do aktualizacji danych? Jeśli tak, to sami prosimy się o to, by faktyczny bieg wydarzeń bardzo nas zaskoczył.

Witold Sokała

publicysta „Dziennika Gazety Prawnej”, wykładowca Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach

**Wszystkie artykuły z „Teologii Politycznej Co Tydzień”
[524]: „Disraeli. Imperium (nie)wyobrażone”**

Ilustracja pochodzi z domeny publicznej



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego